

JULIUSZ DOMAŃSKI

(Warszawa)

DLACZEGO WARTO STARAĆ SIĘ O TRWANIE ŁACINY? KILKA REFLEKSJI Z SZEŚĆDZIESIĘCIOLETNIEJ PERSPEKTYWY

Od moich lat studenckich (1947–1951) słyszałem i czytałem sporo wypowiedzi w obronie studiów klasycznych oraz w sprawie potrzeby nauczania łaciny i greki w szkole średniej. Niemal z wypiekami na twarzy czytałem wielce instruktywną, uroczą książeczkę Jules’a Marouzeau *Le latin*, wydaną po polsku w Bibliotece Filomaty jako *Pogadanki o łacinie*¹. Najwięksi starożytnicy polscy – Tadeusz Zieliński, Tadeusz Sinko, Gustaw Przychocki, żeby poprzestać tylko na tych trzech, których wypowiedzi odbierałem wtedy bodaj najżywiej – obok argumentów praktycznych i sentymentalnych za utrzymaniem tradycyjnego modelu kształcenia klasycznego, jak ten, że języki klasyczne, zwłaszcza łacina, pomagają w uczeniu się europejskich języków współczesnych, a do tego piśmiennictwo staropolskie w ogromnej części jest łacińskie, posługiwali się też argumentami bardziej wyszukanyimi. Trzeźwy Sinko na przykład w swojej *Gramatyce łacińskiej* cytował twierdzenie Kazimierza Morawskiego, że jedna strona prozy polskiej wystarczy, aby stwierdzić, czy autor uczył się za młodu łaciny, czy nie². Innym temperamentem obdarzony Gustaw Przychocki w obszernym artykule *Nie myśmy pierwsi* w 1946 roku bardzo emocjonalnie stwierdzał, że nie należy pytać, czy starożytni dostąpili tego lub owego z dóbr naszej kultury duchowej i materialnej, tylko czy myśmy dostąpili dóbr, które już były udziałem starożytnych³, z czym się kilka lat później wdałem w niefortunną polemikę⁴, choć ani wtedy, ani nigdy potem nie uwierzyłem w postęp automatyczny. Tadeusz Zieliński wśród innych, głębszych argumentów za potrzebą kształcenia klasycznego miał, jeszcze przed pierwszą wojną światową, i ten także, że łacina jest takim cudownym logicznie systemem gramatycznym, który z czterech

¹ J. Marouzeau, *Le latin: dix causeries*, Didier, Paris 1923. Polskie wydanie: *Pogadanki o łacinie*, przeł. M. Stępniewska, Filomata, Lwów 1930.

² T. Sinko, *Gramatyka łacińska*, wyd. IV, Książnica-Altas, Lwów – Warszawa 1932, s. 3.

³ G. Przychocki, *Nie myśmy pierwsi*, Meander 1, 1946, s. 55–64, 178–191.

⁴ J. Domański, *Na marginesie dziesiątego roku studiów nad antykiem grecko-rzymskim w Polsce Ludowej*, Życie i Myśl 4, 1954, nr 3, s. 111–115.

podstawowych samogłosek skonstruował cztery koniugacje⁵, co za kuriozum uznał w swoich *Szkicach językoznawczych* Andrzej Gawroński⁶, mało znany, bo młodo zmarły, genialny ponoć językoznawca-indoeuropeista.

To są na poczekaniu z pamięci odtworzone lektury i moje na nie reakcje sprzed sześćdziesięciu i więcej lat. Dużo się, bardzo dużo podczas tych lat zmieniło i pytać dziś trzeba na nowo i inaczej, czy języki klasyczne, a przede wszystkim ten zawsze w naszej strefie kulturowej powszechniejszy, mają jeszcze szansę uratować się przed całkowitym zmarginalizowaniem, przed sytuacją kulturową, która je uczyni egzotycznym przedmiotem wąskiej i rzadkiej naukowej specjalizacji. Pytać trzeba i o to, czy mają szansę wygrać z czasem, o to nade wszystko. Próbę odpowiedzi bowiem warto włączyć w refleksję ogólniejszą, w refleksję o dziejach spadku po starożytności i o pewnej stałej w nich tendencji. Opiszę ją nie wprost, lecz omownie.

Jeszcze w XIX wieku jeden z polskich generałów Napoleona Bonapartego nazwał łacinę „mową ojców naszych”⁷. To był istotnie, jak wszyscy dobrze wiemy, drugi obok ojczystego język elit polskich od drugiej połowy X wieku. Nie tylko zresztą polskich, bo identycznie było w całej zachodniej Europie. Po zachodnim cesarstwie rzymskim odziedziczyła ona łacinę jako język szkolnictwa oraz język doktryny, prawa i liturgii chrześcijańskiej. Pielęgnowała jego poprawność, choć nie hamowała rozwoju, którego przez tysiąc lat średniowiecza domagało się to, że był jedynym językiem wysokiej kultury we wszystkich jej wymiarach. A kiedy wielki renesans antyku w wiekach XIV–XVI zahamował ten naturalny rozwój i uwięził łacinę w jej antycznej doskonałości klasycznej, umiał mimo to korzystać z niej nadal w tak samo uniwersalnym wymiarze jak średniowiecze, choć z łaciną rywalizowały już od tamtąd coraz bardziej skutecznie coraz bogatsze – także dzięki temu, że się potrafiły na rozmaite sposoby wzorować na łacinie – języki wernakularne.

Wszystko to wszyscy dobrze wiemy, nie zawsze może jednak pamiętamy o autonomicznym niejako czy raczej automatycznym działaniu czasu. Jest ono – lub może powiedzieć trzeba raczej, że ma moc być – dialektycznie dwukierunkowe, mieć dwa wektory: przemijanie i trwanie. Przemijanie wydaje się samą istotą, samą naturą czasu: nie darmo mówi łacińskie porzekadło: *tempus fugit, aeternitas manet*. Wraz z czasem przemija to, co w nim zanurzone, a takie jest wszystko, co ludzkie, także to, co jest wytworem człowieka, artefaktem, nawet jeśli jest tworzone, aby się przemijaniu wymknąć. Lecz i trwanie realizuje się w czasie i jest jego funkcją, przemijaniu przeciwną, tym samym jednak czasem, co przemijanie, mierzoną. Razem z czasem przemijają lub trwają także wszelkie twory ludzkie, artefakty, a ich trwanie lub przemijanie w jakiejś mierze od ludzi-wytwórców zależy. Nie chcę

⁵ T. Zieliński, *Świat antyczny a my (osiem wykładów, wygłoszonych na uniwersytecie w Petersburgu w roku 1901)*, wykład 2, [w:] id., *Po co Homer? Świat antyczny a my*, oprac. A. Biernacki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970, s. 29.

⁶ A. Gawroński, *Szkice językoznawcze*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1928, s. 105–106.

⁷ J. Załuski, *Wspomnienia o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona I*, Drukarnia „Czasu”, Kraków 1865, s. 224, przyp. 1.

tu stawiać pytania, czy i o ile artefaktem jest sam język naturalny, nie mogą jednak ominąć stwierdzenia, że język jest swoistym nośnikiem, swoistą transmisją wszelkich artefaktów jako system ich znaków, w takim samym trybie zresztą, jak jest semiotycznym nośnikiem także wszelkich naturalistów od (wy)twórczości człowieka niezależnych.

Ten równie pospieszny jak ubogi i nie dość precyzyjny wątek filozoficzny ma nas wprowadzić do krótkiej refleksji o przemijaniu i trwaniu dziedzictwa antycznego w czasach poantycznych, o jego przemijaniu i trwaniu jako zespołu artefaktów utrwalonych w języku, w szczególności zaś w interesującym nas języku łacińskim.

Zacznę od podkreślenia niezwykle bogactwa tego języka, bogactwa, by się tak wyrazić, pozajęzykowego, od bogactwa jego desygnatów, artefaktów nim właśnie desygnowanych. Tak się bowiem potoczyły w starożytności dzieje Śródziemnomorza, że łacinie przypadło w udziale stać się wyrazem językowym najbogatszego, najbardziej zróżnicowanego zasobu artefaktów. Dlaczego – to jasne. Po pierwsze *Graecia capta ferum victorem cepit et artes / intulit agresti Latio*, jak to z nieporównywalną celnością i zwięzłością wyraził Horacy⁸. A mówił przecie o Grecji już hellenistycznie ubogaconej, która niejedno ze świata niegreckiego sama już była zasymilowała. W łacinie stworzono piśmiennictwo, które przywykliśmy widzieć jako wtórne, naśladowcze, nieoryginalne, ale zbyt mało może świadomi jesteśmy tego, że piśmiennictwo owo stało się niezwykle zdolne do adaptowania tego, co cudze i obce, i tym właśnie nad podziw było bogate. Stało się takie głównie dzięki przekładom z greki, które łączyły się w jedno z bardziej inwencyjnym od samego przekładania naśladownictwem i jeszcze bardziej inwencyjnym współzawodnictwem literackim z Grekami. Początek tego naładowanego potrójną dynamiką translacji-imitacji-emulacji paradygmatu kultury literackiej przypadł na połowę III wieku ery przedchrześcijańskiej.

W tym samym wieku coś analogicznego stało się również w niepodatnym przedtem na pierwszą z owych czynności, przekładanie, języku greckim. Oto aleksandryjscy Żydzi, żyjący w grekojęzycznej diasporze, utraciwszy już zdolność rozumienia hebrajskiej Biblii, lecz dalej wierni swojej religii, spowodowali przełożenie Biblii na grekę. Analogia do tego, co się stało prawie synchronicznie z grecką literaturą w Rzymie, jest tu tylko częściowa, przekładowi Biblii hebrajskiej bowiem nie towarzyszyły zrazu żadne zabiegi podobne do imitacji i emulacji. Lecz i one dokonały się w obszarze języka greckiego po półtora wieku, kiedy Filon, aleksandryjski Żyd wyłącznie grekojęzyczny, grecką Biblię, czyli Septuagintę, poddał filozoficznej wykładni alegorycznej, stwarzając wielce owocny precedens dla starożytnych myślicieli chrześcijańskich, najpierw greckich, lecz w ich ślady poszli prawie równocześnie też łacini, przekładając zarazem kilkakrotnie kolejno na łacinę również Biblię samą, aby wreszcie scalić niejako tę tradycję przekładową w Hieronimowej Wulgacie z recypowaną w obfitym wyborze klasyczną i hellenistyczną filozofią.

⁸ Hor. *Epist.* II 1, 156–157.

Oto dwa składniki największego bogactwa kulturowego, jakie posiadała łacina: synteza greckiej kultury z rodzimą rzymską w klasycznym piśmiennictwie łacińskim, powstałym w trybie literaturotwórczych procedur przekładu-imitacji-emulacji, i synteza judeochrześcijańskiej Biblii z grecką filozofią, skopiowana z judeochrześcijańskich wzorów greckich przez chrześcijańskich autorów łacińskich. Z takim to bogactwem artefaktów, piśmienniczych oraz ideowych pospołu, odziedziczyli łacinę średniowieczni sukcesorzy starożytnego cesarstwa rzymskiego i jako nośnik takich treści użytkowała ją Europa zachodnia przez niewiele mniej niż półtora tysiąclecia.

Opisywanie tego, jak się różnicowało w ciągu tych kilkunastu wieków użytkowanie łaciny samej jako językowego kodu owego bogactwa, nie jest tu potrzebne. Ważniejsze od tego jest – wspomniane już wyżej – dialektycznie dwukierunkowe działanie czasu na zakodowane w języku artefakty, ich przemijanie i ich trwanie w użytkowaniu i w świadomości użytkowników. Zakodowane w łacinie dziedzictwo antyczne podlegało owej dialektyce przemijania i trwania w rytmie swoistym, regulowanym przez czynniki rzeczowe i językowe pospołu. Dla średniowiecza dziedzictwo antyczne było aktualnością do bezpośredniego i prostego spożytkowywania. Wskutek tego w swej autentycznej postaci podlegało selekcji, a więc zmianom i redukcjom, częściowemu zatem przemijaniu, ubytkowi. Dla renesansu, dla rozbudzonego w nim dopiero mocnego zmysłu historycznego, dzięki któremu dopiero przez ludzi tej epoki ostro postrzegane było jako zredukowane i odmienione, stało się skarbem do odzyskania w autentycznej, niezubożonej postaci. Stało się też zarazem dopiero teraz przedmiotem wzmoczonej emulacyjnej imitacji. Dla jednego i drugiego poantycznego okresu łacińskiej Europy na równi było wartością nie tylko niezbywalną, ale też jednako odczuwaną jako żywa, aktualna, nieprzedawniona. Pod tym względem średniowiecze i renesans były bliźniaczo do siebie podobne. Dla wczesnej nowożytności natomiast, którą od renesansu trzeba wyraźnie odróżnić, choć niełatwo jest określić jej *terminus a quo*, a która zmysł historyczny renesansu jeszcze wyostrzyła i zintensyfikowała, dziedzictwo antyczne stawało się coraz mniej wyraźną wartością aktualną i żywą, a coraz bardziej przedmiotem wyizolowanej i zautonomizowanej ciekawości poznawczej i przez to samo przedmiotem badania beznamiętnego, niepoddanego żadnej mocnej aksjologii, przedmiotem, który jest ciekawy, ale niekoniecznie cenny, a zwłaszcza nie jest już wzorczy, nie zachęca lub w najlepszym razie coraz słabiej zachęca do imitacji. W tej sytuacji łacina, jako kod semiotyczny takiego ogółu przedmiotów będących artefaktami do imitacji-emulacji z coraz dalszej czasowo i coraz mniej atrakcyjnej aksjologicznie przeszłości, traciła szanse na obronę przed czasem jako przemijaniem. Dodatkowo jeszcze umniejszały tę szansę języki wernakularne, coraz sprawniej wyręczające ją w emulacji-imitacji, do której dodawały jeszcze trzecią ze starorzzymskich procedur literaturotwórczych i w ogóle kulturotwórczych – translację, czyli przekład, który, nie będąc już przekładem na łacinę, lecz na języki wernakularne, łacinę pozbawiał mocy uniwersalistycznego semiotycznego kodu. Jednocześnie, nie przestając być interesujące i atrakcyjne, antyczne artefakty traciły niepostrzeżenie swoją moc aksjologiczną. Wzmagало to docieklivość, która owocowała coraz większą trafnością i precyzją

poznawczą, same jednak antyczne artefakty traciły takie wartości, które budziły dawniej zauroczenie i zachwyt. Myślę, że był to proces ciągły, mimo nowożytnych mini-renańsów, takich jak neohellenizm przełomu XVIII i XIX wieku.

Czy coś i co mogłoby w takiej sytuacji dać jeszcze łacinie szansę trwania, ocalić ją jako przekaz, jako dawny kod ciągle jeszcze mniej lub bardziej żywy? I na czym miałyby polegać to trwanie? Wiemy przecież, że również zakres i atrakcyjność użytkowania łaciny jako języka malały z czasem, aż stała się ona ledwie połową samej siebie: z użytkowego języka biernego i czynnego zarazem stawała się coraz bardziej i ostatecznie stała się już tylko biernym, nawet wśród uczonych specjalistów. Ledwie wstępy edytorskie i aparat krytyczny do wydań klasyków *utriusque linguae* pisuje się jeszcze czasem po łacinie, poza tym to już tylko użytek języka śladowy – w piśmie i mowie pospołu hobbistyczny i ludyczny. Dziś więc trzeba myśleć o trwaniu łaciny przede wszystkim jako narzędzia recepcji, nie narzędzia ekspresji, które jest trudnym a luksusowym ornamentem coraz bardziej wątpliwej użyteczności i skuteczności. Jeśli nawet przyjmujemy, że dziedzictwo antyczne jest nadal i pozostanie w świadomości intelektualistów wartością niezbywalną, może by tę jego wartość potrafiła utrwalić i wzmocnić jasna świadomość niezbędności łaciny jako kodu semiotycznego jednorodnego z tym dziedzictwem, z taką mianowicie jego postacią, jaką stworzyły trzy kulturotwórcze procedury rzymskie i utrwaliła poantyczna europejska tradycja zachodnia. Musiałaby to zarazem być świadoma i mocna akceptacja łaciny jako kodu, który jest nieodzowny do możliwie najbardziej skutecznego odbioru tego dziedzictwa, akceptacja kodu, który zapewnia przekazywanie dziedzictwa antycznego w postaci najbardziej rzeczowo autentycznej, a zarazem od określonego momentu starożytności najpełniejszej. Idzie mi nie o to, że bez możliwie najszerszej znajomości tego kodu jako języka naturalnego dziedzictwo antyczne pozostanie faktycznie tylko – tak jak już się coraz bardziej stawało przez całą nowożytność i nadal się staje – przedmiotem poznawczej jedynie ciekawości, bo tę celnie i adekwatnie zaspokoją i jej owoce przekazywać sobie będą wzajemnie nieliczni starożytnicy-specjaliści. Idzie mi o coś dużo ważniejszego, o to, że bez możliwie szerokiej obecności kodu łaciny jako języka owo zlatynizowane niegdyś przebogie i różnorodne dziedzictwo antyczne całkowicie utraci innych swoich użytkowników, którzy by je nie tylko badali, lecz również szukali w nim inspiracji, materii twórczej czy choćby tylko czysto odbiorczej delektacji. Dla jednych i dla drugich będzie to, obawiam się, przedmiot równie obcy, równie egzotyczny, jak dla nas wszystkich pospołu, dziedziców starożytności niegdyś w bardzo bogatym zakresie przez starożytnych Rzymian zlatynizowanej i w takiej przede wszystkim postaci przez ich poantycznych następców dziedziczonej, była, jest i zapewne pozostanie literatura dajmy na to japońska czy sztuka Majów.

Zasygnalizowawszy wszelako, jak bardzo niekorzystnie dla łaciny, a i dla dziedzictwa antycznego jako zasobu wartości działał sam czas jako przemijanie, nie mogę nie liczyć się z perspektywą, że aby trwanie temu dziedzictwu zapewnić, w jakiejś niedalekiej przyszłości jako jego językowy nośnik pozostaną i będą musiały w tym drugim, nieprofesjonalnym zakresie wystarczyć już tylko przekłady. Jestem

ich wielkim zwolennikiem, bo widzę w nich coś więcej niż tylko taką zastępczą użyteczność, i zawsze ubolewałem nad tym, że w Polsce jest przekładów piśmiennictwa antycznego tak mało. Wspomniawszy o tym teraz, zdaję sobie sprawę, że to zagadnienie osobne i o wiele też szersze od poruszonego przeze mnie problemu trwania łaciny. Szersze przede wszystkim dlatego, że musi brać pod uwagę nie tylko drugą, greckojęzyczną część antycznego dziedzictwa, ale też wszelkie medio- i neolatina, skutek tego, że łacina była mową ojców naszych. I musi to brać pod uwagę z potrzeb badawczych również, kiedy je stworzy – a raczej ponieważ już je tworzy – drastycznie wąski zakres znajomości łaciny. Czyż jutrzejsi badacze literatury polskiej będą przygotowani do tego, aby bez przekładu studiować łacińskie źródła do dziejów kultury polskiej i łacińską twórczość staropolskich poetów?

Lecz to – jak powiedziałem – osobne zagadnienie – i oby także okazja do snucia dalszych, podobnych do tych tu refleksji. Te ostatnie pozostaje tylko zakończyć teraz przestrogą, że i najlepsze nawet i najliczniejsze przekłady nie ustrzegą przed tym, co mi się tu zarysowało jako skutek grożącej utraty łaciny, i że przeto zabiegać o jej trwanie i trzeba, i warto.

juldom@poczta.onet.pl

ARGUMENTUM

Monstrantur causae, cur lingua Latina minus quam antea sit Polonis nota, et affirmatur eam nihilominus colendam esse, quippe quae ea sola patrimonium Romanorum nobis vere aperiatur.